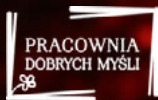


MAGDALENA WITKIEWICZ

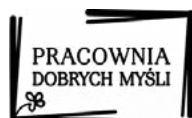


VOODOO



**MAGDALENA
WITKIEWICZ**

VOODOO





Miałam wszystkiego dość. Trzy dni temu mój tak zwany narzeczony stwierdził, że to jednak nie to. Szkoda, że wpadł na to kilka dni przed ślubem. „Kilka” – mówi mama ciekawskim ciotkom, wujkom i sąsiadkom. Ja wiem, że to były dokładnie 3 dni, 4 godziny i 23 minuty przed momentem, kiedy miałam wchodzić do największego kościoła w mieście, by przyrzekać miłość, wierność i takie tam.

Uczciwość małżeńską również.

Nie przyrzekałam.

Piotr przyszedł w środę rano i powiedział, że może to za szybko, że może powinniśmy się zastanowić, że mamy jeszcze czas i że jesteśmy młodzi.

Jak to za szybko? Jesteśmy ze sobą cztery lata! To jest tylko? Za młodzi? Zegar biologiczny tyka, chcę rodziny, dzieci, chcę Piotra!

Na koniec oczywiście zostaliśmy przyjaciółmi. Jak to zwykle bywa. Nawet pocałował mnie w policzek. Przytulił, pogłaskał po głowie niczym małą dziewczynkę i obiecał zadzwonić.

Zapytał również, czy nie potrzebuję wsparcia emocjonalnego.

O Boże, wsparcie emocjonalne. I jeszcze co.

Spakowałam suknię ślubną do kartonu, zakleiłam brązową taśmą i postanowiłam ją spalić przy najbliższej możliwej okazji. Nie mogłam patrzeć na te zdobiące ją frywolne koronki w kwiatuszki.

Rodzice mnie nie zawiedli. Wszystko poodkręcali. Kościół, knajpę, gości... Nawet powiadomili pana, co miał gołąbki wypuszczać w niebo. Poodkręcali i kazali jechać na wakacje.

Na wakacje... Ostatnie, na co miałam ochotę, to wakacje. Chciałam leżeć i patrzeć w sufit. Nie mogłam jeść, nie chciałam pić, nie mogłam czytać, oglądać telewizji... W sumie bym tylko spała... A spać można gdziekolwiek. To po co urlop?

Dla świętego spokoju – bardziej moich rodziców niż mojego – zgodziłam się na ten wyjazd. Postanowiłam jechać dokładnie tam, gdzie mnie zaprowadzi palec.

– Masz mapę Polski? – zapytałam tatę.

– Mapę? – zdziwił się. – A nie możesz do Internetu zajrzeć?

– Mapa musi być. – Wzruszyłam ramionami i zajrzałam do szafy, gdzie leżały mapy jeszcze z czasów studenckich mojego ojca.

– Palcem po mapie? – domyślił się. – Jak za starych, dobrych czasów?

Uśmiechnęłam się. Tylko to mi pozostało. Narzeczonego w kosmos wszakże nie jestem w stanie wysłać.

Rozmarzyłam się.

– To co? Gdzie palec? – Tata rozwinął mapę. – Tylko wiesz, nie za daleko...

– Oj, tata, tata. – Zamknęłam oczy, wystawiłam palec i dotknęłam mapy. Poczułam dziwne ciepło. Przypadek. Otworzyłam oczy.

– I co?

– Strzyżewo – szepnęłam.

– Jest tam coś ciekawego?

– A bo ja wiem? – Wzruszyłam ramionami. – Na mapie nie widać, by było ciekawie. Rzeka, jakieś lasy, jezioro obok. Widzisz, niedaleko, bo jakieś sto pięćdziesiąt kilometrów od nas.



Wsiadłam do samochodu i pojechałam. Miałam przecież urlop z okazji ślubu. Jak się dowiedziałam,

mój były narzeczony pojechał już w „podróż poślubną”, tylko... z inną panną. Nie młodą, bo ślubu na razie nie wziął, ale grzał swoje (i nie swoje) ciało gdzieś w Egipcie. Taki los. A ja do Strzyżewa. No normalnie rewelacja.

Oczywiście sprawdziłam w Google – atrakcji brak, ale jezioro było, las i podobno całkiem niezłe jedzenie w przydrożnej gospodzie. Strzyżewo istniało nie tylko na mapie mojego ojca.

Zarezerwowałam wcześniej pokój w pensjonacie o francusko brzmiącej nazwie Maman Brigitte, więc rodzice byli spokojni, że nie będę nocować pod gwiazdami, jak nieraz bywało podczas moich studenckich czasów. Poprosiłam ich jednak, by nie dzwonili, bo muszę odpocząć. Odreagować.

W ofercie pensjonatu było obcowanie ze sztuką, lepienie z gliny, zabawy z igłą i nitką, więc miałam nadzieję, że naprawdę odpocznę od wielkomiejskiego zgiełku i przede wszystkim facetów.

Minęłam Iławę. Powinnałam już być blisko. GPS utracił zasięg. Mogłam jednak wziąć mapę.

– Przepraszam! – Zatrzymałam się, widząc kulejącego człowieka. – Szukam Strzyżewa.

Mężczyzna spojrzął na mnie przestraszony. Przeżegnał się i uciekł tak szybko, na ile mu pozwalała chora noga. Wzruszyłam ramionami.

Dotarłam do stacji benzynowej, kupiłam coś do picia.

– Przepraszam, do Strzyżewa tędy? – zapytałam kierowcę tira, który najwyraźniej miał zamiar zawrzeć ze mną bliższą znajomość.

Zamarł w bezruchu.

– Dziewczyno... – Głos mu się załamał. – Nie jedź tam... To wioska przeklętych... – Najwyraźniej odechciało mu się amorów. Odszedł, robiąc znak krzyża.

Dziwne, wytatuowany, wielki facet, a trzęsie się ze strachu na samą myśl o małej wiosce w lesie. Chore to wszystko.

Cóż miałam robić? Pojechałam dalej, tak jak mi się wydawało, że trzeba jechać. Gdy przemierzałam pełną drogę w kierunku lasu, już zmierzchało. Las był wyjątkowo ciemny. Znad korony drzew nie widać było wcale nieba. Zbliżała się dwudziesta, jakoś strasznie długo trwała ta moja podróż. Nie bardzo mogłam sobie przypomnieć, o której wyszłam z domu... Po obiedzie? Nie... Po śniadaniu... Która była wtedy godzina? Tak długo tu jechałam? Było jasno, teraz już ciemno... Coś mi nie pasowało...

Samochód się zakrzuszył, podejrzenie zawył i nagle stanął.

Zaczęłam się denerwować. W środku lasu, sama, zbliża się noc, a mój do tej pory wypieszczony i stuprocentowo sprawny samochód odmawia posłuszeństwa.

No cóż. Najpierw narzeczony odmówił posłuszeństwa, teraz samochód. Takie życie.

Otworzyłam maskę. Nie to, żebym się znała na samochodach, ale chciałam sprawdzić, czy coś się nie pali, nie dymi. Docisnęłam klemy akumulatora.

Nagle usłyszałam czyjś oddech za plecami.

Serce podskoczyło mi do gardła, odwróciłam się szybko.

Dosłownie milimetry dzieliły mnie od twarzy starej kobiety. Odsunęłam się. Nie lubię, jak ktoś za bardzo ingeruje w moją przestrzeń.

– Podwiezie mnie pani? – zapytała chrapliwym głosem. Jej wąskie usta na chwilę się otworzyły, by potem zacisnąć się jeszcze bardziej.

– Chętnie. Ale samochód mi nawalił – odparłam. – Może zna pani kogoś, kto mógłby pomóc?

– Nikogo nie ma w pobliżu – ucięła krótko.

– Mogłabym na piechotę do Iławy... – zaczęłam.

– Iława? Dwie godziny drogi stąd – zarechotała kobieta. – Spróbuj, dziewczyno – dotknęła maski samochodu – może teraz się uda.

Miałam jakiś problem z czasem i przestrzenią. Może te leki, co mama wcisnęła mi na uspokojenie, miały takie negatywne skutki?

Kobieta wsiadła do samochodu. Wielką, wypełnioną po brzegi siatkę ułożyła sobie na kolanach, mimo iż proponowałam, by położyła ją na tylnym siedzeniu. Trzymała ją, jakby się bała, że jej zabiorę. Nie zapięła pasów, jedynie rękami obejmowała swój wielki pakunek.

Samochód o dziwo odpalił.

– Dokąd panią podwieźć? – zapytałam.
– Cofnij się kawałek i potem skręć na polanę. Jadę tam, gdzie ty.
– Skąd pani wie, dokąd ja jadę? – zdziwiłam się, skręcając w przecinkę przez las.
Kobieta nie odpowiedziała. Jakby wcale nie słyszała mojego pytania.

Tabliczkę „Strzyżewo” minęłam dokładnie o północy. Licznik wskazywał dokładnie 66 666 kilometrów. Zrobiło mi się trochę nieswojo.

– Diabelskie miasto. – Uśmiechnęłam się do mojej przypadkowej autostopowiczki. Nie odwzajemniła uśmiechu.

Nie wierzyłam nigdy w żadne czary, diabły i inne takie. Umysł ścisły. Byłam najlepszą studentką na roku, potem najlepszą programistką w firmie, nie wierzyłam w magię. W tę czarną również nie. Mimo wszystko to, co się teraz działo, było dziwne. Najpierw ten pędzący czas, potem kobieta z wąskimi ustami trzy milimetry ode mnie i zawyżona odległość od Iławy... Wszystko dziwne.

No dobra. 66 667 na liczniku. Jakby ulga. No ale przecież nie wierzę w bzdury.

– Zatrzymaj się – powiedziała kobieta. – Ja wysiadam tutaj, a ty pojedziesz tą drogą. – Wskazała kierunek kościastą ręką. – Pensjonat Maman Brigitte to stara plebania obok kościoła. Poznasz po wieży. Bez krzyża. Bo ukradli na złom.

– Skąd pani wie, gdzie się zatrzymuję? – zapytałam.
– Wszystkie tam się zatrzymują – odparła, po czym z trudem wypchnęła torbę z samochodu i sama wysiadła.
– Proszę pani! – zawołałam, bo na siedzeniu został mały przezroczysty woreczek. Kobieta już zniknęła.
Może nie powinnam tego robić, ale otworzyłam zawiniątko. Wysypały się z niego oczy. Miniaturowe porcelanowe oczy. W różnych kolorach. Wszystkie zdawały się na mnie patrzeć.



Do pensjonatu dojechałam w zupełnych ciemnościach. Z głośników w aucie leciało Portishead. Też sobie wybrałam muzykę. Czarna noc, oczy walające się po podłodze i demoniczna muzyka. Nie mogłam lepiej wybrać. Wszystko było takie dziwne.

W pewnym momencie zobaczyłam czerwony napis „Maman Brigitte” i wysiadłam. Naprawdę nie wiem, jak znalazłam się w swoim pokoju. Nie wiem, skąd w ogóle wiedziałam, że to mój pokój.

Muszę zadzwonić do mamy zapytać, czy te leki mogą tak działać...

Och, jak dobrze mieć lekarza w rodzinie.

Obudziłam się około południa.

Ubrałam się, wyszłam z pokoju, który jak się okazało, znajdował się na pierwszym piętrze. Z dołu dobiegały odgłosy rozmów. Poszłam w ich kierunku.

– Dzień dobry... – zaczęłam nieśmiało, gdy zobaczyłam stojącą tyłem wysoką, szczupłą kobietę okutaną w fioletowy szal.

Odwróciła się.

Była bardzo blada, wręcz przezroczysta. Tym bardziej od białej skóry odcinał się kolor jej bujnych, kręconych włosów. Płomienny rudy, prawie czerwony. Poprawiła ciemne okulary, w których brakowało prawego szkła. Za nią dreptała wielka czarna kura.

– Dzień dobry, Joanno. Jestem Maman Brigitte. Czekałyśmy na ciebie ze śniadaniem. – Poprowadziła mnie do stołu, przy którym siedziało już kilkanaście innych kobiet. – Opowiedz nam swoją historię.

– Ale... Ale ja... – zaczęłam nieśmiało.

– Napij się, kochanie. – Przysunęła fioletową szklanekę do moich ust i sama wlała we mnie jakiś lodowaty napój. – A teraz mów...

– Odszedł trzy dni, cztery godziny i dwadzieścia trzy minuty przed ślubem, pojechał z inną do Egiptu, powiedział, że chce być moim przyjacielem... – szeptałam szybko, ciągle w kółko to samo, obok słyszałam też ciche głosy kobiet.

– Zobaczyłam go w łóżku z sąsiadką z czwartego piętra... – mówiła młoda, zgrabna kobieta.

– Powiedział, że odchodzi do młodszej. – Mniej więcej pięćdziesięcioletnia pulchna kobieta cedziła słowa z zaciętym wyrazem twarzy. – Chcę, by zniknął...

– Bił mnie... Chciałabym, by chociaż raz go tak zabolalo...

– Kazał mi to zrobić, zagroził, że odejdzie...

– Mówił mi, że się do niczego nie nadaję, że głupia jestem, że nienormalna... A ja po prostu chciałam zdać maturę... – szeptała wysoka blondynka.

Kręciło mi się w głowie, znowu zapomniałam zadzwonić do mamy... Zewsząd dobiegały głosy zranych kobiet. Próbowalam zatkać uszy, ale i tak nie dało to żadnego efektu. Świat wirował, przed oczami co chwilę migały mi rude loki Maman Brigitte i słychać było monotonne szepty kobiet opowiadających o mężczyznach, którzy zrobili im krzywdę.

– STOP! – Krzyk i klaśnięcie w dłonie. – Dziękujemy paniom.

Szum panujący w pokoju ustał.

Nigdy chyba nie jadłam posiłku w takiej ciszy.

– Dziękuję – powiedziała Maman Brigitte, gdy zjadłyśmy. – Teraz proponuję, byście panie przeszły do pracowni. – Zarzuciła na plecy fioletową chustę i otworzyła drzwi.

Wyszłyśmy na zewnątrz. Mimo lata nie było ciepło. Chmurzyło się i nagle zrobiło się ciemno. Zanosiło się na burzę. Już kropiło, gdy doszłyśmy do pracowni.

Znajdowała się ona na tyłach starego, rozwalającego się kościoła. Przed drzwiami stała kobieta z wąskimi ustami, którą podwiozłam poprzedniego dnia.

– Masz coś mojego – odezwała się. – Oddaj mi oczy.

Szybko wyciągnęłam z kieszeni woreczek, jakimś dziwnym trafem miałam go przy sobie, i jej oddałam. Skinęła głową.

Zaprowadziła nas na sam koniec ciemnego kościoła. Musiał być tam kiedyś ołtarz, bo zostały po nim złożenia. Wszystkie krzyże chyba rozkradziono. Okna też z ledwością ukazywały dawną świetność. W futrynach tkwiły fragmenty rozbitych witraży, przesłonięte zwykłymi sosnowymi deskami.

– Anatomia – powiedziała kobieta z wąskimi ustami, gdy usiadłyśmy w kościelnych ławkach. W miejscu, gdzie kiedyś było tabernakulum, rozwinęła wielkie prześcieradło, na którym widniał nagi mężczyzna. Dopiero po chwili zauważyłam rzutnik. – Musicie wiedzieć, jak ukłuć, by zabić. – Wyjęła wielką szpilkę i wbiła ją w wypchaną lalkę naturalnej wielkości, która nagle pojawiła się obok prześcieradła. Po chwili wyjęła szpikulec. – I musicie wiedzieć, jak tylko uszkodzić. Najbardziej boli serce. – Wbiła szpilę prosto w serce namalowane na tej wielkiej kukle.

Zajęcia trwały cały dzień. Pod koniec wiedziałyśmy wszystko o budowie mężczyzny. Z najdrobniejszymi szczegółami byłyśmy oprowadzane po mapie jego ciała. Chłonęłyśmy wiedzę jak gąbka wodę. W czasie przerw

rozmawialiśmy o tym, co nas złego spotkało. O życiu, o mężczyznach, którzy, zupełnie bez sensu, byli dla nas ważni.

Następnego dnia sytuacja się powtórzyła. Nauczycielka zaprowadziła nas pod stary ołtarz, gdzie leżały rozłożone różne materiały. Tkaniny, dzianiny, tasiemki, włóczki i oczy w różnych kolorach.

– Macie coś, co do nich należało? – zapytała.

Pokiwałam głową przecząco.

– Masz. Pierścionek – powiedziała kobieta. – Zdejmuj.

Posłusznie wykonałam zadanie. Pod koniec dnia pierścionek przyczepiłam do szmacianej lalki, samodzielnie przeze mnie uszytej, która do złudzenia przypominała Piotra. Mojego byłego narzeczonego. Nie podejrzywałam siebie o takie artystyczne zdolności...

– Na dzisiaj koniec. – Kobieta klasnęła w dłonie. – Czekam jutro.



Tej nocy nie mogłam spać. Świat znowu wirował. Przypomniałam sobie, że miałam zadzwonić do mamy, zapytać o te tabletki. Teraz była już za późna godzina. Wstałam, napiłam się wody. Przeszło mi przez myśl, że może ja się tak dziwnie czuję, ponieważ oni coś do tej wody dolewają. Szybko wybiłam sobie ten pomysł z głowy.

Cały czas przed oczami miałam Piotra. Gdy już zasnęłam, śnił mi się. Na piaszczystej plaży obściskiwał się z tą panną, którą zaprosił na NASZĄ podróż poślubną. Gdy się obudziłam, nienawidziłam go jeszcze bardziej.

– Panienko, wstajemy! – Do mojego pokoju weszła ruda kobieta. – Dziś mamy najważniejszy dzień. Pozbędziecie się smutków i już zawsze będziecie szczęśliwi! – Pogładziła mnie białą ręką po policzku. – Zegar cofnie wskazówki. – Poprawiła okulary, nadal bez jednego szkła, i wyszła.

Nie pamiętam, czy tego dnia jadłyśmy śniadanie. Wszystkie mieszkające tu kobiety założyły swoje najlepsze ubrania. Ja nawet pomalowałam usta, czego nie robiłam od dawna... Chciałam być piękna...

Motyle w brzuchu? Spotkanie z ukochanym? Tak. To było to uczucie. W kościele usiadłyśmy w ławkach, każda przed sobą trzymała lalkę, którą uszyła poprzedniego dnia.

– Ja pierwsza! – zawołała kobieta, która regularnie była bita przez męża. – Wyciągnęła szpilkę z włosów i wycelowała prosto w serce. Gdy tylko to zrobiła, zaczęła śmiać się histerycznym śmiechem.

– Teraz ja! – krzyknęła druga. – Szpilka zatopiła się w głowie winowajcy.

Przerażona obserwowałam moje nowe znajome, które jedna po drugiej wbijały szpilki w szmaciane lalki. Gdy mocno ścisnęłam swoją kukielkę, dotarło do mnie, że ja wcale nie chcę tego robić!

Kobiety przekrzykiwały się wzajemnie, co chwilę wybuchał potworny śmiech. Uciec, uciec, uciec!!!

Rzuciłam moją lalkę jak najdalej od siebie. Spadła na zimny kościelny beton. Z krzykiem wybiegłam z budynku.

Nie patrząc na nic, pędziłam prosto przed siebie. W pewnej chwili moją uwagę zwrócił mężczyzna, którego minęłam. Szedł, co chwilę odwracając się za siebie. Biegłam tak szybko, jak tylko mogłam.

– Podwiozę panią. – Obok mnie zatrzymał się samochód. – Proszę wsiadać.

Cóż miałam robić? Wsiadłam.

– Opowie mi pani, co się stało? Jestem pisarzem. Mieszkam chwilowo w gospodzie, trochę piszę i... Próbuję zrozumieć...

Opowiedziałam mu wszystko. O Piotrze, o dziwnej rudej kobiecie i jej szatańskim napoju, o nauczycielce anatomii, szyciu lalek i strzałach prosto w serce. Mój kierowca nic nie mówił. Słuchał.

Tak minęła nam cała podróż.

Podwioził mnie pod sam dom, pożegnał się i odjechał.

Zadrżałam. Uświadomiłam sobie, że dojechałam do domu w samej sukience. Zostawiłam wszystko w Strzyżewie. Trudno. Może kiedyś po to wrócę. Chociaż... Bardzo nie chciałam tego robić.

Rodzice o nic nie pytali. Chciałam tylko spać, spać, spać!

Wydawało mi się, iż spałam bardzo długo. Gdy się ocknęłam, dziwnym trafem stałam w salonie, naprzeciwko taty.

– Masz mapę Polski? – usłyszałam swój głos.

– Mapę? – zdziwił się tata. – A nie możesz do Internetu zajrzeć?

– Mapa musi być. – Wzruszyłam ramionami i zajrzałam do szafy, gdzie leżały mapy jeszcze z czasów studenckich mojego ojca.

– Palcem po mapie? – Uśmiechnął się. – Jak za starych, dobrych czasów?

Spojrzałam na niego. Déjà vu. Jeszcze da się to odkręcić.

– A może lepiej nie? – Pokiwałam głową. – Może coś wybiorę z biura podróży...

Poszłam do swojego pokoju, wyjrzałam przez okno. Samochód stał na swoim miejscu. Otworzyłam szafę. Wszystkie ubrania wisały w niej jak zawsze, walizka stała na swoim miejscu.

– To co ze Strzyżewem? – zastanowiłam się głośno.

Usłyszałam głos ojca. Rozmawiał z kimś przez telefon. Po chwili przyszedł do mojego pokoju.

– Dzwoniła mama Piotra. Spadł z jakiejś skały... Poobijał się bardzo, ale już jest lepiej. Podobno bardzo chce ciebie zobaczyć.

Zamknęłam oczy. Ujrzałam małą szmacianą lalkę, spadającą na zimną podłogę kościoła. Spojrzałam na serdeczny palec. Było tam puste miejsce po pierścionku.

Taka wąska, nieopalona linia. Ostatni raz widziałam go właśnie, gdy przyczepiałam go do lalki, którą wyrzuciłam.

Musiałam odetchnąć.

– Tato, wychodzę na chwilę – powiedziałam.

Poszłam do sklepu kupić jakieś dobre wino. Minęłam kobietę, która wydała mi się znajoma. Zatrzymałam się, ale nie mogłam sobie przypomnieć, skąd ją znam. Rozmawiała dość głośno, więc wszystko słyszałam.

– Zmarł na zawał – mówiła. – Ale droga pani, ja się już przez niego napłakałam. Teraz pozostaje mi się tylko cieszyć.

Poznałam ją. To ta kobieta ze Strzyżewa, która pierwsza wbiła szpilkę w serce szmacianej lalki.

Zrobiło mi się na przemian zimno i gorąco. Pobiegłam do domu i usiadłam do komputera.

„Strzyżewo” – wpisałam w Google.

– Strzyżewo, dolnośląskie, to nie to. Strzyżewo Kościelne, też nie to.

Nie mogłam znaleźć mojego Strzyżewa. Tego, w którym byłam. Tego nieopodal Iławy.

Mapa ojca. Otworzyłam ją, niechcący rozdzierając ją przy tym na dwie części. Iława, Kałduny, Rudzienice. Brak śladu Strzyżewa.

Przecież wcześniej tu było!

Nic, zobaczę inaczej. Wpisałam w okienko wyszukiwarki nazwę pensjonatu w starej plebanii. „Maman Brigitte”. W Wikipedii napisano:

„Maman Brigitte (dosłownie: Mama Brygida, czytaj: mam'ą briżít) – jeden z duchów (loa) w religii voodoo, żona barona Samedi. Opiekunka cmentarzy i grobów.

(...) Jest kobietą o białej skórze i rudych włosach, ubraną w czarną suknię z szalem na ramionach, przykrywa głowę chustą i nosi ciemne okulary, w których brakuje prawego szkła. Jej ulubiony kolor to fiolet, a zwierzę ofiarne to czarna kura”.



*** 3 lata później ***

Dostałam pocztą dziwną przesyłkę. Z koperty wypadła książka.

– „Halloween II Wioska Przeklętych” – przeczytałam głośno.

Przekartkowałam ją szybko. Był to zbiór opowiadań. Pod jednym z nich widniało zdjęcie mojego kierowcy, pisarza. Tego, który uratował mnie, gdy uciekłam od Maman Brigitte.

Każde opowiadanie opisywało Strzyzewo. To, w którym kiedyś byłam albo... nie byłam. I to, którego na pewno nie ma na żadnej mapie...





Projekt okładki

Magdalena Witkiewicz z wykorzystaniem narzędzi AI

Redakcja

Agnieszka Luberadzka

Redakcja techniczna, skład, łamanie oraz opracowanie

wersji elektronicznej:

Andrzej Lademann

Korekta

Karolina Tuszyńska

Wydanie I, Gdańsk 2024

tekst © Magdalena Witkiewicz, 2024

© Pracownia Dobrych Myśli

ISBN 978-83-68351-03-3

kontakt@pracowniadobrychmysli.pl